

Sezon bogaty w wydarzenia

Z DYREKTOREM A. LUCZAKIEM O SPRAWACH FILHARMONII

— Jaki był ten sezon, który się właśnie skończył, dla naszej Filharmonii? Dobry, zły, przeciętny? — Był to sezon bogaty w wydarzenia. Przypomnijmy: Ogólnopolskie Eliminacje Kandydatów do Konkursu Skrzypcowego, V Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego, który po raz pierwszy przyniósł najwyższą nagrodę Polakowi Piotrowi Janowskiemu. Dekada Muzyki Armeńskiej, określona jako jedno z najciekawszych wydarzeń muzycznych sezonu, VIII Poznańska Wiosna Muzyczna będąca dla kompozytorów miejscem konfrontacji i źródłem inspiracji, ale ciągle jeszcze nie będąca festiwalem dla publiczności. Gościliśmy wielu wybitnych dyrygentów, solistów, zespoły, obchodziliśmy XX-lecie naszej Filharmonii, mieliśmy jubileuszowy 50 Koncert Poznański.

— Jak można by ocenić sezon pod względem artystycznym? — Był artystycznie wartościowy i różnorodny. Ta ogólna formuła nie uwzględnia wszystkich elementów, wśród których były te sprzyjające rozwojowi, jak i te hamujące. Potrzeba czasu i dystansu, by bardziej obiektywnie spojrzeć na ten sezon, a w tym pomoże nam zapewne krytyka muzyczna...

— Może kilka liczb obrazujących sezon? — 78 koncertów symfonicznych, 10 chóralnych, 14 szkolnych, 1 koncert kwartetu, 8 kameralnych, 7 recitali, 1 288 audycji szkolnych, 90 w zakładach pracy to jest razem prawie 1500 imprez, w których wzięło udział pół miliona słuchaczy.

— Czy jest Pan zadowolony z pracy instytucji, którą Pan kieruje, z pracy zespołu Filharmonii?

— Ciągłe widzę wiele rzeczy do zrobienia. Musimy wytyczyć przemyślaną linię rozwojową, która wyeliminuje wciąż jeszcze występujące tu i ówdzie zjawisko doraźności. Czekam na wielką pracę nad dalszym podniesieniem kultury i mistrzostwa wykonawczego orkiestry. Jeśli chcemy zdobyć nowych odbiorców, musimy zapewnić stałą, najwyższą dyspozycję zespołu do największego wysiłku artystycznego. To, co osiągnęliśmy, wskazuje na wielkie możliwości tkwiące w zespole, ale nie daje jeszcze pełnej satysfakcji, nie może odpowiadać ambicjom zespołu.

— Sezon miniony był bogaty w wydarzenia, nie sądzę jednak by poznańscy melomani mogli być zachwyceni dyrygentami, którzy przeszli przez pulpit dyrygencki. Nie było wśród nich przede wszystkim czołowych dyrygentów krajowych.

— Bo o nich najtrudniej. W tym zakresie nasza polityka kulturalna nie jest dobrze realizowana. Wszyscy wybitni nasi dyrygenci wolą koncertować za granicą, ze względów zarówno artystycznych, jak i finansowych. Trzeba to zmienić dając inne stawki w określonych przypadkach, a może nawet wprowadzając jakieś limity występów zagranicznych. Wychowanie dyrygenta jest najdroższe z wszystkich profesji, trzeba więc zadbać, by ci najwybitniejsi dawali coś także krajowi. I dla wychowania orkiestry, i dla publiczności ma to kapitalne znaczenie.

— Choć sezon miniony wygląda imponująco, przecież sala Filharmonii nie zawsze była wypełniona, nie dał się zauważyć jakiś przypływ nowej publiczności. Cemu to przypisać?

— Z frekwencją istotnie ciągle było nie najlepiej. Przyczyny tkwią zapewne w nas, mają więc charakter subiektywny, tkwią jednak również w społeczeństwie. Ale jest i coś mniej bezpośredniego, a mianowicie znaczenie Filharmonii nie dopracowała się tego, co ma na przykład zespół Stuligrosza czy Kurczewskiego — ruchu miłośnictwa. Chodzi o to, że nasze społeczeństwo nie żyje sprawą Filharmonii, ta instytucja nie jest jego „ukochanym dzieckiem”. Staraliśmy się wychodzić naprzeciw społeczeństwu, ono zaś pozostaje na ogół obojętne. W pełni żywciliwi i wyrozumiali jest natomiast stosunek do nas naszych władz partyjnych i państwowych. Z tej strony trudno doprawdy oczekiwać więcej niż się robi.

— Zastanawia to, że poznańska Filharmonia bije krajowe rekordy w zakresie audycji szkolnych, zarówno ich liczbą jak i poziomem wykonawstwa, a jednocześnie na koncertach w auli UAM nie widać młodzieży, nawet tej ze szkół muzycznych, co jest już zupełnie paradoksalne.

— Widzimy to i widzimy naszą rolę, która na tle bogatego życia artystycznego Poznania musi być znaczna, zważywszy chociażby rozległe i istotne funkcje społeczne muzyki oraz ukształtowane tradycje naszego miasta. Te funkcje będziemy musieli w przyszłym sezonie uwzględnić w większym stopniu aniżeli dotychczas. Zwrócimy także baczniejszą uwagę na młodzież i to szczególnie robotniczą, a także młodzież szkolną, artystyczną stwarzając jej bardziej odpowiedzialny zestaw muzycznych propozycji. Nie dokonaliśmy dotąd zbyt wiele, i to chyba w skali krajowej, by udostępnić słuchaczom muzykę nowoczesną. Legendy o niezrozumiałości tej nowej muzyki wynikają zapewne z tradycyjnych konwencji muzycznych, przez których pryzmat przyjmowana jest muzyka nowoczesna. Pozostaje zresztą jeszcze wiele innych dziedzin wymagających szczególnego rozpoznania i ukształtowania na pożytek słuchaczy i rangi artystycznej naszego miasta.

— Trwa Rok Muzyki w Wielkopolsce. Co Pan sądzi o tej inicjatywie i jaki był w niej udział Filharmonii?

— Podjęcie tego hasła bardzo sprzyjało stworzeniu korzystnego klimatu wokół pewnych instytucji muzycznych. Nasze koncerty też odbywały się pod tym hasłem. Jednakże poza samym hasłem i poza pewnymi inicjatywami jak „Muzyka na rogatkach miasta” czy też stworzenie Zespołu Muzyki Dawnej — nie nastąpił generalny bilans życia muzycznego naszego miasta i regionu, nie zrodziła się jakaś większa idea rozwoju życia muzycznego. A przecież należałoby wytyczyć perspektywę takiego rozwoju, a to znaczy zobaczyć czym dysponujemy i rozważyć czym powinniśmy dysponować za ileś tam lat, zdecydować jak chcemy być przygotowani do zaspokojenia potrzeb przyszłego odbiorcy, który będzie żył w innych warunkach, będzie miał nieporównywalnie więcej wolnego czasu. Pod kątem tej przyszłości powinniśmy wiele zmienić w naszym wychowaniu muzycznym w szkole, które pozostawia wiele do życzenia, a tam przecież kształtuje się przyszłych odbiorców najlepszej muzyki.

Rozmawiał:

MIECZYSLAW SKĄPSKI

Marian Flejsierowicz

ULICA JAK SYMBOL

15 000 kilometrów po ZSRR

Do Irkucka przyleciałem w niedzielę 20 maja. Pogoda była słoneczna, ale chłodna. Drzewa ledwo nabrzmiewały dopiero zielonymi pączkami. Ludzie tłumnie wylegli na ulice, przeważnie bez płaszczy. W zalewie Angary roilo się od łódek, na których młodzi ludzie żażywali wiosennej przejażdżki. Nie kiedy dolatywał do brzegu dźwięk harmonii lub gitary, częściej tony prozaiycznej i natrętnej muzyki z tranzystorów. We wszystkich oknach domów akademickich — z książkami, skryptami i zeszytami w ręce, ubrani w kąpielówki, plażówki lub tylko w spodnie — siedzieli albo leżeli studenci i studentki. Pomysłowi zaimprovizowali na parapetach jakieś niby leżaki, śmieli po prostu spuszczać nogi na zewnątrz.

Ja, przybywszy z Europy środkowej, nie zdecydowałem się opałać w takim chłodziu. Ale tu ludzie wciąż słone, tęsknią widać za nim, zwłaszcza po długiej zimie i wykorzystują każdą okazję, żeby złapać jak najwięcej jego promieni. Jeszcze na początku maja leżał śnieg po kolan. A nierzadko spada już we wrześniu. Mimo takiego krótkiego lata, uprawia się tutaj ziemniaki, żyto, a nawet pszenicę i... kukurydzę. Te ostatnie jednak tylko jako zieloną paszę i na kiszonce, sprowadzając ziarno siewne. Tutejsza kukurydza nigdy bowiem nie zdąży dojrzeć.



Czerwona liczba 44 na obwolucie nowej książki Zbigniewa Załuskiego sugeruje mickiewiczowskie, kabalistyczne „czterdzieści cztery”. Sugestię tę podtrzymuje Załuski swoją indrodukcją, w której zamieszczona jest in ekstensio słynna przepowiednia z roku 1894

nie Polska od morza do morza, czekając na to pół wieku... Ale na dalszych stronach nie będzie nic o kabałach, nie doszuka się tu czytelnik odpowiedzi na aluzyjne stwierdzenie zawarte w przepowiedni i wyjaśnienia, co miało znaczyć mickiewiczowskie, a przez księdza Piotra wypowiedziane 44.

Liczba ta w książce Załuskiego to znamieny, pełen brzemienności w skutki konkretnych wydarzeń, i często także bolesny rok 1944.

„Rok pamiętny, utrwalaony na zawsze w dziejach naszego narodu. Rok, w którym — śladem tych, co goły rękami zdobywali pierwsze pistolety w Warszawie, którzy radzieckim bagnietem przebijali się przez wzgórze za mgłą pod Lenino — prostowali grzbiety wszyscy przygnieci dotąd strachem i dręczeni biernością...”

Książka Załuskiego, napisana jak i te poprzednie językiem żywym, prosta w konstrukcji i jednoznaczna w wymowie politycznej, zawiera, w lapidarnym skrócie oczywiście, pełny przegląd dróg i postaw Polaków, którzy tworzyli historię w tamtym pamiętnym roku. Panorama ta, rzucona na kanwę ogólnowiatowych wydarzeń ma niezmierne wagi zalety. Do każdej drogi życiowej i każdej postawy autor podchodzi z pełnym szacunkiem, opisy zdażeń bez względu na „kolor sztafetu”, pod jakim siedzi w tamtym okresie bohater fragmentu, są obiektywne i rzeczowe, dokumenty, na których opiera się Załuski, wybrane sumiennie i starannie, wnioski sformułowane w sposób przekonujący i wnikliwy.

NOWA KSIĄŻKA ZBIGNIEWA ZAŁUSKIEGO

Oto próbka podsumowania kampanii włoskiej, w której Załuski oddaje w sposób piękny „co żołnierskie — żołnierzowi”.

„Szedł i ginął najcenniejszy, najwyższy dorobek narodu — jego ludzie: budowniczowie i hodowcy, żołnierze i myśliciele. Szedł i ginął żołnierz wyszkolony, wykwalifikowany, przygotowany — dorobek lat całych wysiłku dawnej jeszcze Polski i tej szczególnej wędrowności Polski żołnierskiej na obczyźnie. Wydatkowany był najcenniejszy w tym wojennym momencie majątek narodowy — dorobek wojskowy Polski. Ten dorobek był własnością narodu. Jest rzeczą narodu ocenić, jak został wydatkowany...”

Wydaje się, że to twierdzenie, zawarte w ocenie rezultatów bitwy pod Monte Cassino, że tak wiele żołnierskiej krwi przelano, aby zbudować „fundament pod gmach poli-

wiele wnikliwych dociekań i uwag. Nie owija w bawełnę rozbieżności, jakie dzieliły PPR i AL od rządów emigracyjnych w Londynie, demaskuje opętające knowania polskiej reakcji dla rozpętania wojny domowej, cytując fragmenty rozkazów i instrukcji płynących do Polski z kancelarii Sikorskiego, Sosnkowskiego i innych mocodawców polskiej konspiracji podległej Londynowi. A równocześnie Załuski kładzie na drugą szalę te wszystkie posunięcia i wypowiedzi żołnierzy AK i polityków „londyńskiej orientacji”, które zawierały trzeźwą ocenę sytuacji, sprzyjały tworzeniu się zdefiniowanej przez Załuskiego jednostki. Im też poświęca w końcu książki zdanie: „... mimo wszystkich instrukcji z jednej strony i wszystkich trudności z drugiej strony, tysiące ludzi dobrej woli z dawnego aparatu państwowego, w tym setki oficerów AK i tysiące byłych żołnierzy AK szły do pracy i do woj-ska, szczerze ożywionych najlepszą wolą, z poczucia obowiązku obywatelskiego, z głębokiego patriotyzmu. Pełnili swe obowiązki jak umieli, choć było im bardzo trudno, wśród rosnącej niechęci szli na front, przelewali tam krew i tak samo jak peerowcy ginęli od kul „nieznanych sprawców”...”

Zbigniew Załuski już nie po raz pierwszy pisze książkę na czasie, książkę bardzo potrzebną. Jego „Przepustka do historii” ukazała się w okresie ożywionych dyskusji o potrzebie patriotycznego wychowania i dyskusję tę znacznie ożywiła. Mimo ataków i nie pozbawionych uszczypliwości komentarzy o „odgrzebywaniu mitów Somosierry”. Załuski wyszedł zwycięsko z tych dyskusji. Minione miesiące pokazały, jakie wyrwy w umysłach młodych tworzy wulgaryzowanie rodzimej historii, nadmierne „odbrażanie”, pseudointernacjonalistyczne pojmowanie dziejów. Obecna książka to praca autora, któremu się wierzy, którego się zna i szanuje.

Wskazuje ona na potrzebę myślenia kategoriami politycznego realizmu, przypomina, jaką cenę zapłaciłmy za błędy i uprzedzenia, kształtowane w czasie międzywojennego dwudziestolecia. Uczy potrzeby jednoci i szacunku dla tego, co zrobiliśmy. Rok 1944 był rokiem naszych największych doświadczeń. Warto przypomnieć sobie ten okres sprzed ćwierćwiecza, warto zadumać się nad losami Polaków w tamtym okresie.

I wyciągnąć z tej lektury własne, aktualne wnioski.

Remigiusz Szczęsnowicz

Czterdziesty czwarty i sześćdziesiąty ósmy

tyczno-ustrojowy, który nie stanął, bo stanąć nie mógł”, legły u podstaw koncepcji książki Załuskiego.

Załuski jest żołnierzem. Na wojennych szlakach poznawał prawdę o 1944 roku. Jak każdy żołnierz przeżywał wówczas każdą wojenną śmierć, jako żołnierz tej armii, która zatknęła zwycięski sztandar na gruzach Berlina, znał dobrze radość zwycięstwa, umiał więc tym lepiej i mógł ocenić klęskę tych, co walczyli i umierali na rozkaz zbankrutowanych polityków emigracji. Załuski skrupulatnie, z pełnym uznaniem opisuje każdy przejaw braterstwa broni żołnierzy spod znaku AL, AK i BCH, oraz Armii Czerwonej, wskazując jednak, że była to jedność podyktowana warunkami wojennymi, że była to jedność „w kwestii stosunku do najeźdźcy — Niemiec hitlerowskich”.

„Wówczas w latach wojny była jednością moralną, ale jeszcze nie polityczną, a tym bardziej nie społeczną, nie klasową” — pisze Załuski.

I szkodom, jakie przyniósł brak tej klasowej, społecznej jednoci, konsekwencjom braku jednoci politycznej i procesom zachodzącym w naszym społeczeństwie, aby taką jedność stworzyć, poświęca Załuski



Angarsk, miasto, które kilkanaście lat temu nie było, dzisiaj liczy 200.000 mieszkańców.

Zbiory są znacznie niższe niż gdzie indziej w klimacie łaskawym i dla ludzi, i dla roślin. Za to ziemi jest dużo, bardzo dużo, byle tylko ją zagospodarować.

Irkuck jest stolicą olbrzymiego obwodu w Rosyjskiej Federacji Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Miasto jest głównym ośrodkiem i węzłem komunikacyjnym na magistrali syberyjskiej. Stąd prowadzą trasy samochodowe: jakucka, mongolska i moskiewska. Stąd kolejną elektryczną jedzie się do Moskwy 84 godziny, samolot natomiast tę przeszło 5000-kilometrową odległość pokonuje w niecałe 7 godzin. Irkuck założyli w 1652 roku Kozacy, w miejscu, gdzie rzeka Irkut wpada do Angary, biorącej początek z niedalekiego jeziora Bajkał. Jej bystre wody są czyste jak kryształ. Pierwszy raz w życiu widziałem dużą rzekę, o wodzie koloru niebieskawego. Tę czystość Angara zawdzięcza Bajkałowi.

W Galerii Trietiańskiej w Moskwie wisi obraz namalowany w latach pięćdziesiątych, przedstawiający spław drewna na Angarze. Dzisiaj Angara między Ir-

kuckiem a Bratskiem nikt już drewna nie spławia. Można co najwyżej tę około 600-kilometrową drogę wodną przebyć w 9 godzin wodolotem, który regularnie kursuje na tym odcinku. Początek i koniec trasy wyznaczają dwie wodne elektrownie. Ta w Irkucku jest niewielka (600 tysięcy kilowatów mocy), za to z dumą obnosi miano pierwszej GES (Gidroelektrostantsija) na Angarze — zaledwie 65 kilometrów od źródła, a ściślej mówiąc, od wypływu Angary z Bajkału. Natomiast Bratska-GES, to największa elektrownia wodna na Syberii i jedna z największych na świecie. Jej moc wynosi 4,5 mln. kilowatów, roczna produkcja około 22 miliardów kWh. 130-metrowa tama spiętrza olbrzymie sztuczne jezioro, które miejscowi nazywają Bratskoje Morze, długości 570 kilometrów i szerokości 15—25 km. Od początku swego istnienia Bratska-GES wyprodukowała przeszło 80 miliardów kWh.

Już na pierwszy rzut oka Irkuck różni się od Nowosybirsk tym, że więcej tu domów małych, że całe dzielnice zajmują ładne niewielkie

domki drewniane. Uderza w tych domkach duża troska o estetykę, o ornamentacyjne, wycinane w drewnie ozdoby, zwłaszcza wokół okien i drzwi. Są nawet ludzie, szczególnie starsi, którzy niechętnie się przeprowadzają do nowych przestrzenniejszych mieszkań. „60 lat już mam i nie wiem, co to reumatyzm” — powiedział mi jeden ze zwolenników drewnianych domów.

Nie ma szerokich prostych ulic tak charakterystycznych dla Nowosybirsk. Nawet przy głównej ulicy Irkucka, co kawałek trafić można drewniane 1-piętrowe domy. Stare murywane też są raczej niewysokie, 2—3-kondygnacyjne. Nie znaczy to, że nie ma nowych domów. Buduje się tu bardzo dużo, powstają całe nowe dzielnice, m. in. dzielnica studencka, położona za miastem. Prowadzi do niej ulica o nawierzchni mocno już sfatygowanej przez ciężkie samochody obsługujące okoliczne place budowy. Takie odcinki dróg, zryte kołami pojazdów, nieomylnie wskazują szlaki inwestycji,

Dokończenie na str. 2

Socjologowie o kulturze na wsi

Na marginesie sesji w Białej

Zagadnienie kultury na wsi budzi coraz większe zainteresowanie tak u działaczy jak i u etnografów oraz socjologów. Działacze widzą potrzebę lepszych niż dotąd rozwiązań praktycznych, potrzebę wprowadzania nowych form, odpowiadających środowiskom wiejskim. Dostrzegają też konieczność przekazywania w tych nowych formach takich treści, które by kształtowały właściwe postawy ludzkie odpowiadające nowym stosunkom społecznym. Te tendencje do wprowadzania nowości w ruch kulturalny ujawniły się na konferencji wojewódzkiej Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego, odbytej niedawno w Wągrowcu.

Socjologowie i etnografowie starają się z dotychczasowego procesu przemian kulturalnych wydobyć prawa rządzące tym rozwojem, aby teoretycznie wspomóc praktyków. Dowodem tego ostatnia sesja socjologów poznańskich zorganizowana w Białej, z inicjatywy Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich i poznańskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. W sesji tej — tradycyjnie co roku organizowanej w powiecie trzcińskim — uczestniczyli zwyczajowo naukowcy i praktycy: przedstawiciele władz powiatowych i działacze miejscowi, gdyż tego rodzaju spotkanie pozwala na konfrontację nauki z praktyką i na odwrót.

Aby działalność kulturalna była właściwa, konieczna jest znajomość historii rozwoju kultury. Tej potrzebie wyszedł naprzeciw znawca tego zagadnienia, prorektor Uniwersytetu im. A. Mickiewicza i zarazem kierownik Katedry Etnografii — prof. dr J. Burszta. Nakreślił on drogę rozwoju kultury ludowej, która odłączyła się od nurtu ogólnonarodowego w czasie powstania podziału klasowego, kiedy to wieś zaczęła żyć w izolacji społecznej, i obecnie — kiedy ten podział zanika — znowu zbliża się do nurtu ogólnonarodowego. Jesteśmy świadkami coraz silniejszej penetracji wzorów kultury miejskiej na wsi. Nie sposób tu przedstawić całości poruszonego zagadnienia. Ze względu jednak na to, że dotyczy ono wsi wielkopolskiej, postaramy się ująć je w kilku zasadniczych тезach.

1. Społeczności wiejskie przestały już żyć w izolacji społecznej, stały się otwarte. Nadmiar rąk do pracy odpływa do miasta. Szczególnie rozwinięta sieć autobusowa ułatwia codzienny kontakt wsi z miastem. Ludność wiejska więc wcześniej zaznajamia się z wzorami kultury miejskiej.

2. Mechanizacja pracy w polu i w zagrodzie przyczyniły się do „wygospodarowania” wolnego czasu, który zużywa się na odbiór dóbr kultury ogólnonarodowej i miejskiej, przekazywanych przez radio, telewizję, teatr, film, i na czynny udział w różnego rodzaju zespołach oświatowych i artystycznych w domach kultury, klubach — kawiarniach i świetlicach.

3. Na wsi szczególnie młode pokolenie chętnie przejmuje wzory

miejskie, starsze zaś pokolenie odnosi się do nich więcej lub mniej krytycznie. Są już jednak i takie wsie, w których starsze pokolenie stara się dostosować do dezyderatów młodego, widząc w ich realizacji praktyczne, łatwo i szybko dostrzegalne korzyści. To przyspiesza zbliżanie się kultury wiejskiej do miejskiej.

4. Poważną rolę w tym procesie odgrywa służba wojskowa. Tu bowiem młodzież wiejska i miejska wspólnie zaznajamia się ze współczesną techniką i przygotowuje się do obrony kraju. Bezpośrednie osobiste kontakty i wspólne zadania w dużej mierze powodują tu wymianę składników kultury i ich selekcję.

5. Ogólnie — jesteśmy świadkami zbliżenia się kultury wiejskiej do miejskiej i wchodzenia obu w jeden wspólny nurt kultury ogólnonarodowej.

Czy wobec tego pomiędzy kulturą na wsi a kulturą w mieście nie będzie w przyszłości żadnych różnic? Powodować jej będzie odmiennosć sposobu produkcji (rolnicza i poza rolnicza) i pewna odmiennosć stosunków społecznych (gospodarstwa indywidualne na wsi). Po drugie — wzory miejskie na wieś wchodzi z pewnym opóźnieniem. Jest tu bowiem potrzebny jakiś czas na ich przyswojenie. Po trzecie — kultura miejska przewodzi, dysponuje większą dynamiką rozwojową, gdyż skupia na swoim terenie większą liczbę inteligencji i instytucji, mających na celu tworzenie i upowszechnianie dóbr kulturalnych. Liczyć się jednak należy z tym, że w miarę dalszego postępu technicznego i przekazu kultury różnice te będą malały.

Z procesu tego należy sobie zdawać sprawę w polityce kulturalnej i w praktyce. Nie chodzi tu o bezkrytyczne przyjmowanie wszystkich wzorów miejskich, nie każdy przecież przedstawia wartości potrzebne na wsi. Niekiedy trafić można na blichtr, płytkość, przemijającą błyskotliwą modę. Ale te wzory, które ułatwiają codzienne życie, kształtują właściwy światopogląd, postawy społeczne wobec rzeczywistości i łączą w sobie piękne z pożytecznym — dla wsi są niezwykle cenne. Ale i z drugiej strony — szkodliwe byłoby wyrzucanie na śmietnik wszystkich starych elementów wiejskich dlatego tylko, że są stare. Wiele z nich zachowuje przecież nieprzemijające wartości społeczne i artystyczne; są włączane w nurt kultury ogólnonarodowej.

Dyskusja nad rozwojem kultury na wsi niewątpliwie podejmowana będzie jeszcze nieraz przez teoretyków. Zmiany zachodzą w przyspieszonym tempie, dostarczają bogactwa spostrzeżeń dających możliwości uchwycenia prawidłowości tych przemian. Bez znajomości tego procesu każde praktyczne posunięcie jest „grą w ciemno”; dyktowane intuicją i wyczuciem, nie zawsze okazuje się słuszne. Żałować należy, że tego rodzaju spotkania i sesje naukowe są rzadkie i w innych regionach z wyjątkiem powiatu trzcińskiego, nie praktykowane.

Stało się już chyba dobrą tradycją, że wielkie wystawy monograficzne w poznańskim Muzeum Narodowym łączone są z sesją naukową poświęconą twórczości artysty, którego dorobek jest przedmiotem wystawy. Rangę obecnej wystawy dzieł Marcellego Bacciarellego, pierwszego malarza dworu Stanisława Augusta podniosła m. in. właśnie sesja naukowa z udziałem wybitnych znawców okresu stanisławowskiego prof. W. Tarkiewicz i prof. S. Lorenza, a także monografistki artysty dr A. Chyczewskiej. Tu mała ciekawostka. Prof. Tarkiewicz dwukrotnie otwierał sesję naukową na temat twórczości Bacciarellego: po raz pierwszy w 1918 r. w stulecie śmierci artysty, po raz drugi obecnie w Poznaniu z okazji 150 rocznicy śmierci malarza. W trakcie tej pierwszej wysunął sugestie zorganizowania monograficznej wystawy prac wybitnego malarza. Propozycja ta dopiero po 50 latach doczekała się właśnie w Poznaniu realizacji.

Jakie wnioski nasuwa wystawa i sesja naukowa dedykowana pamięci twórcy i działalności organizatorsko-artystycznej malarza nadwornego ostatniego króla polskiego. Trudno jest w przypadku wystawy prac malarza tak odległej epoki kuścisć się o próby wartościowania jego dorobku z punktu widzenia współczesnej estetyki obrazu. Twórczość Bacciarellego należy zresztą

M. Bacciarelli - malarz polskiego oświecenia

niemal całkowicie do historii, nie nasuwa żadnych właściwie analogii z współczesnością. Nie tyle więc interesuje ona nas dziś pod kątem żywości artystycznej, ile roli jaką odegrała w dziejach polskiego malarstwa i programu ideowo-artystycznego, który ją do życia powołał. Sztuka Bacciarellego, na co zwrócono szczególną uwagę w poznańskim muzeum, wyrosła na gruncie konkretnego programu polityczno-artystycznego polskiego oświecenia. Była jednym z zasadniczych ogniw szeroko zakrojonego programu rozbudzenia świadomości narodowej i patriotycznej i skupiania uwagi społeczeństwa na osobie króla, który miał być wyrazicielem tego programu. Bacciarelli — spolonizowany Włoch, urodzony w Genui, zapoczątkował de facto polskie, narodowe malarstwo historyczne, rozumiane jako lekcja dydaktyzmu i patriotyzmu. Malował „portrety” historycznych władców polskich, malował sceny historyczne gloryfikujące przeszłość i dawną potęgę państwa, chyłkiem się wtedy właśnie ku upadkowi. Tworzył też portrety króla i innych polityków dworu królewskiego dla wzmocnienia idei monarchii

i państwowości i dla podniesienia w oczach społeczeństwa wagi osoby króla i jego dworu. Był wreszcie nieoficjalnym ministrem kultury i sztuki Stanisława Augusta, jego pełnomocnikiem do spraw budowlanych i w ogóle spraw sztuki.

Był także inicjatorem i kierownikiem pierwszej w Polsce szkoły artystycznej na Zamku Warszawskim.

Przypuszczalnie program i ogólną koncepcję sztuki opracował dla swego nadwornego malarza sam król. Nawet jednak jeśli tak było, jeśli Bacciarelli był tylko wykonawcą, a nie współtwórcą programu artystycznego polskiego oświecenia — rola jego sztuki była ogromna. Ideologię artystyczną oświecenia w jej warstwie historyczno-dydaktycznej przejął po Bacciarellim w znacznej mierze polskie malarstwo XIX wieku. Reprezentantem tej samej niemal koncepcji sztuki co Bacciarelli stał się w kilkadziesiąt lat później Jan Matejko, który to dopiero siłą swego talentu — przyćmił blask nazwiska Marcellego Bacciarellego.

O. B.

ULICA JAK SYMBOL

Dokończenie ze str. 1

zazwyczaj wielkich, będących krokiem naprzód w przekształcaniu obojętnej Syberii, kryjącej w sobie niezmierzone bogactwa. Ale wielkie przeobrażenia znaczą też inne drogi...

Tę irkucką ulicę mimo woli porównywałem dwie godziny później z kilkadziesiąt metrów szeroką rozdzieloną środkiem pasem trawnika, prostą jak strzelił ulicą Angarską, miasta leżącego nad Angarą około 50 km na północny-zachód od Irkucka.

Jedną stroną ulicy prowadzą torry tramwajowe. Nawierzchnia idealnie gładka, ale nie dlatego zapamiętałem ten fragment Angarskiej. Ulica ciągnie się kilka kilometrów. Zabudowana jest jednak zaledwie na jednej trzeciej swej długości. Całe miasto nowe.

W 1948 roku nie było tu nic, tylko tajga. W 1951 roku Angarsk otrzymał prawa osiedla, ale naprawdę miastem stał się dopiero w 1957 roku. Dzisiaj liczy około 200 000 mieszkańców. Kariera wielka, lecz wcale nie jedyna. Podobnych karier spotkać można w ZSRR więcej. Ich szlak prowadzi zazwyczaj wzdłuż rzek (elektrownie wodne), wzdłuż coraz gęstszej sieci ropociągów i gazociągów, przy kopalniach, hutach, wielkich kombinatach. Bracka elektrownia jest już słynna na całym świecie. A czy ktoś słyszał o drugiej elektrowni na Angarze, 250 km poniżej Bracki, w mieście Ustje-Lima? Prawie nikt. Za kilka lat będzie ta GES równie głośna jak jej bracka star-



Na Angarze, 250 km poniżej Bracki, w miejscowości Ustje-Lima powstaje elektrownia wodna nie mniejsza niż Bratska GES. Na zdjęciu: domki budowniczych.

sza siostra. Dużo osób słyszało o przemysle drzewnym, materiałach budowlanych, maszynowym czy o dziełowym Bracki? Chyba mało. Czy wiele jest w Polsce ludzi, do których dotarły wieści o tamtejszej rafinerii ropy naftowej, większej niż nasza w Płocku? Przypuszczam, że nie.

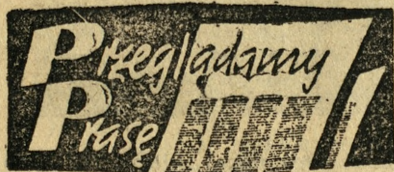
„Moja” bracka ulica — to niemal symbol tego, co się tutaj dokonuje. Najpierw po obu jej stronach stoją domy, najczęściej 5-kondygnacyjne, nowoczesne, wielkopłytowe, ładne z balkonami, potem surowe ściany, potem już tylko fundamenty lub same wykopy i wreszcie z prawej i lewej — tylko tajga. A gdzieś na horyzoncie, nad tajgą, jak surrealistyczny pomnik zamykający perspektywę wę ulicy, charakterystycznym wąskim wysokim płomieniem płonie gaz. Tam właśnie kilka kilometrów od miasta, wśród odwiecznego lasu strzelają w niebo cylindry rafinerii, głównej sprawczyni niezwykłej, a przecież coraz bardziej typowej dla tego, co się w ZSRR dzieje — kariery Bracki.

Zanim pożegnałem się z miastem w którym wszystko jest nowe, złożyłem wizytę w tamtejszym pałacu kultury. Jego wygląd wprawdzie musi w zachwyt każdego, kto tu zajrzy. Nowoczesna sylwetka, wewnątrz marmur, pięknie szlifowane kamienie. Jedną ścianę sali wypoczynku tworzą efektownie wyeksponowane minerały syberyjskie. Czytelnie, sale gry, bufety, sale tańca i sala teatralna, przypominająca trochę swym wyglądem kremłowski Pałac Zjazdów. Dech zapiera.

Właśnie zaczęli się schodzić na tańce młodzi ludzie. Podszedłem do 6-osobowej grupy stojącej przed wejściem. Odwiedzają swój pałac co najmniej 2 razy w tygodniu. Dwoje z nich pracuje w miejscowym kombinacie petrochemicznym, dwoje się uczy w technikum, dwoje studiuje.

Na każdym kroku uderza olbrzymia liczba studiującej i uczącej się w technikach młodzieży. Kiedy to sobie człowiek uświadomi, łatwiej zrozumie, dlaczego tak szybko ten kraj postępuje naprzód.

MARIAN FLEJSIEROWICZ



SZUKAJMY GŁĘBIEJ: SKĄD IDZIEMY?

Pod tym tytułem „Kultura” drukuje artykuł Bogdana Suchodolskiego na temat problemów poruszonych w artykule Jana Zygmunta Jakubowskiego, wydrukowanym przed dwoma tygodniami w tym samym piśmie, a relacjonowa nym także na naszych łamach. Obydwa artykuły dotyczą problemów związanych z warunkami i metodami upowszechniania „Sztuki dziedziczenia” kulturalnego dorobku narodu.

„Wprawdzie nasze państwo ludowe — pisze B. Suchodolski — podjęło ogromny wysiłek w zakresie urbanistyki i architektury, dzięki któremu ważny element narodowej tradycji stał się w dziesiątkach naszych miast i miasteczek rzeczywistością dzisiejszego życia ludzi, ale nie we wszystkich innych zakresach wysiłek nasz jest analogicznie wysoki. Wciąż jeszcze nie mamy wielkiego, godnego naszego narodu, muzeum kultury polskiej, które byłoby stałym ośrodkiem życia i wiedzy o naszych kulturalnych tradycjach we wszystkich zakresach i o roz-

ległych możliwościach promieniowania społecznego. Wciąż jeszcze kontakt ze sztuką polską byłby łatwiejszy przez film krótkometrażowy, jeśliby można go było oglądać — niż przez muzea; zwłaszcza Muzeum Narodowe w Warszawie jest tylko z nazwy „Narodowym”, ponieważ ekspozycja sztuki polskiej znajduje w nim miejsce zupełnie poślednie”.

Wyrażając z kolei swoje poglądy na temat samowiedzy narodowej, B. Suchodolski stwierdza, że:

„Nasza wizja dokąd idziemy musi być związana z wizją skąd idziemy — i odwrotnie. Dlatego stoi przed nami konieczność nowego spojrzenia na koncepcję „skąd idziemy”. Podjęta przez Zaluskiego rewizja oskarżających wyroków, sformułowanych pod adresem naszej „bohaterskiej” historii, wymaga podobnej rewizji w zakresie naszej historii pracy produkcyjnej i historii społecznego działania; wymaga również takiej samej rewizji w zakresie historii naszej nauki i sztuki. Wynikiem tych różnorodnych rewizji okaże się zapewne, iż dzielowa droga naszego narodu była drogą budowaną w różnoraki sposób przez różne jego warstwy społeczne i że właśnie dziś, w warunkach powszechnego uczestnictwa w życiu narodu, dokonują się po raz pierwszy w dziejach na tę skalę — integracja różnorodnych wartości, wypracowanych przez różne epoki i różne warstwy społeczne”.

KSIAŻKI I CZYTELNICZY II KATEGORII?

Jednym z warunków upowszechniania samowiedzy narodowej jest powszechność publikacji na ich temat, m. in. publikacji książek. Ten temat porusza w „Tygodniku Kulturalnym” Jan Wolosz, analizując wyniki badań czy-

telnicznych na wsi, a zwłaszcza wyniki zakupów bibliotecznych.

Okazuje się, że wiele bibliotek wiejskich nie ma podstawowych i fundamentalnych dzieł z klasyki polskiej i światowej, wybitnych utworów współczesnych. A dzieje się tak, chociaż — jak wiadomo — półki w księgarniach nie świecą pustkami. Biblioteki wiejskie zdane są na kupowanie tego co jest w księgarniach, zamiast kupować to co jest im potrzebne. Często zaś nakłady książek cennych i potrzebnych są zbyt małe, a książki kiepskich i źle napisanych — za duże w stosunku do zapotrzebowania. A przecież kiepska książka wydana nawet w dużym nakładzie, nie pomaga w upowszechnianiu określonych treści.

W związku z tym J. Wolosz podkreśla:

„Zarówno wybitna książka dawna jak i współczesna, jest dla czytelnika wiejskiego, szkołą czytania, źródłem wiedzy o kulturze i nauce oraz pomocą w społecznym kształceniu człowieka, pomocą w kształceniu własnych postaw i aspiracji godnych człowieka naszego wieku”.

O książkach, które nie kształcą bądź kształcą tylko połowicznie pisze już po raz drugi z kolei Alina Reutt w „Walce Młodych”. Tematem jej publikacji są informatory turystyczne, w których — jak wykazuje autorka — anonimowi na ogół autorzy spod egidy Centralnego Ośrodka Informacji Turystycznej nie znajdują miejsca na informacje o walkach powstańców i partyzantów, czy też o śladach Żeromskiego, Staszica, Ściegiennego lub Reja np. na Ziemi Kieleckiej.

„Interesuje nas — czytamy — kto, jaki zespół, jaki autor układa katalogi tury-

styczne dla potrzeb „IT”, kto zatwierdza, kto płaci (i ile!) za ten bezbrzeżny trud? Kto sprawuje kontrolę nad tą rażącoś twórczością i jakie są tego efekty? Zdajemy sobie sprawę, że na odpowiedź poczekamy, jako że GKKFiT otrzymuje na ogół wiele pytań od publiczności. Liczymy jednak, że odpowiedzi dostaniemy, choć tu już nie ma i papieru nie starczy”.

ANATOMIA REWIZJONIZMU

Wychodząc naprzeciw społecznemu zapotrzebowaniu, „Współczesność” drukuje artykuł Bogusława Ponikowskiego pt. „Anatomia rewizjonizmu”. Ciekawa ta publikacja analizuje teoretycznie problem rewizjonizmu w socjalizmie, ukazuje treść ideową rewizjonizmu, jego znaczenie polityczne i źródła społeczne w socjalizmie.

KARGUL CZYLI SŁODKIE ŻYCIE

Różne czasopisma kontynuują lub drukują nowe publikacje o procesie Mariana Kargula. Maria Osiać w artykule „Słodkie życie”, wydrukowanym w „Argumentach”, tak m. in. pisze:

„Konieczne jest demaskowanie całego mechanizmu tej sprawy, docieranie do przyczyn. (...) Kargul wyraźnie chciałby wytworzyć przekonanie o tym, że mamy do czynienia z atmosferą ogólnego skorpumpowania. Tak nie jest. Ale dlatego

też trzeba eliminować w działalności administracji tych, którzy w sposób bardziej czy mniej świadomy stają się sojusznikami ludu pokroju Kargula. A ponadto: trzeba zwrócić uwagę na inny jeszcze fakt: działalność Kargula dotycząca przetrwania dewiz za granicę, sprowadzania zagranicznych towarów, uprawianie nielegalnego handlu — to nie pierwsza sprawa. Warto tu zwrócić uwagę, że Kargul zapłacił wysoki podatek od nabycia praw majątkowych. I oto nikomu nie przyszło na myśl, że przecież tych darów zagranicznych dostaje Kargul tak wiele, że sumy podatkowe są tak wysokie, że to wszystko razem staje się co najmniej „dziwne”. Nikt nie przyjrzał się tym faktom bliżej. Naiwność, niechęć, niemożliwość czy po prostu przymykanie oczu? Kargul uczynił sobie na terenie tego kraju, gdzie obowiązują odpowiednie słuszne przepisy, zakreślony wyraźnie krąg własnych, prywatnych interesów. Stworzył niemal własne przedsiębiorstwo importowe”.

Barbara Seidler w publikacji na łamach „Życia Literackiego” zapytuje w związku z rozprawą Kargula, co będzie ze świadkami, którzy przeddefiniowali przed sądownictwem stołem w czasie tej rozprawy.

„Bowiem sprawiedliwość — stwierdza autorka — jednej miary dla wszystkich jest zasadniczo sprzeczna ze stosowaniem różnych miar dla różnych ludzi”.

LEKTOR